

ZYGMUNT BAUMAN
Uniwersytet Warszawski
Uniwersytet w Leed

ŻYJĄC (CZASAMI UMIERAJĄC) NA TŁOCZNEJ PLANECIE

Nie jest to próba syntezy. Za wcześnie na to, by się kusić o spójny, a tym bardziej wyczerpujący model nowej kondycji ludzkiej, jaka się z raptownej planetaryzacji ludzkich związków i zależności wyłania. Model taki, choćby najskrzętniej i najostrożniej budowany, zestarzałby się i zwiotczał, zanim zdołałby dojrzeć. Procesom globalizacji daleko wciąż do zakończenia i nie sposób przewidzieć, w jakim kierunku się potoczą. Po drodze zaś miażdżą one i kruszą pospolite układy społecznych stosunków – wraz z ramami pojęciowymi, w jakich zwykliśmy je umieszczać, by ich sens uchwycić i ich kształty, i ich przemiany opisać. Wszelki opis planetarnego współzycia i wynikłych z niego zagrożeń – już ujawnionych bądź tych, co się dopiero objawią w dalszych fazach żywiołowych, często ślepych, a z reguły niesystematycznych procesów – może być co najwyżej tym, co Amerykanie zwą *career report*: sprawozdaniem z drogi, opowieścią o wrażeniach z podróży. Wiadomo z góry, że na podsumowania jeszcze nie pora i że opowieść dzisiejszą przyjdzie jeszcze po wielekroć poprawiać i spisywać od nowa.

Świadom nieuniknionej tymczasowości syntetycznych obrazów, ograniczę się tu do zasygnalizowania raczej, niż naniesienia na mapę, trzech pobudzanych przez procesy globalizacyjne, a najbardziej bodaj w skutki brzemiennych przemian w formach planetarnego współzycia. Skupię się następnie na trzech następstwach omówionych wprzód przemian, które zdają się ważyć najmocniej na kształcie współczesnych konfliktów, układach, w jakich konflikty się pojawiają i są rozgrywane oraz strategiach stosowanych w zmaganiach o władzę.

A. PRZEMIANY

a. Wypełnianie się planety

Ziemia jest pełna.

By uniknąć nieporozumień: nie jest to twierdzenie z dziedziny geografii czy demografii. Z punktu widzenia dostępnej przestrzeni fizycznej i stopnia jej zaludnienia Ziemia daleka jest od zapełnienia. Przeciwnie, obszar skąpo zaludnionych lub wręcz wyludnionych terenów, uznanych za nienadające się do trwałego osadnictwa lub niezdolne do wyżywienia osiadłej ludności, zdaje się rozszerzać raczej niż kurczyć. Podczas gdy postęp t e c h n i c z n y dostarcza (choćby i po rosnącej nieustannie cenie) narzędzi przetrwania w warunkach uważanych niegdyś za niezdatne do osiedlenia, podważa on zarazem zdolność licznych terenów do utrzymania przy życiu populacji, które niegdyś je zamieszkiwały. Z drugiej zaś strony, postęp g o s p o d a r c z y sprawia, że coraz to nowe ze stosowanych dawniej sposobów wytwarzania i odtwarzania warunków do życia stają się ‘ekonomicznie niewydolne’ i ‘gospodarczo nie do przyjęcia’, powiększając w ten sposób obszar odłogów i ugorów i osiedli-widm.

Zdanie ‘Ziemia jest pełna’ jest twierdzeniem z zakresu socjologii i nauk politycznych. Powiada ono nie o stanie planety, lecz o sposobie bycia jej mieszkańców. Orzeka ono o zaniku ‘ziemi niczyjej’, terenów które dałyby się uznać za niezaludnione i jako takie traktować; obszarów nie objętych uznaną za suwerenną administracją, a przeto otwartych dla kolonizacji i osadnictwa; ba, wołających o nie. Na przeciągu dziejów nowoczesnych tereny takie, jakich dziś zabrakło niemal doszczętnie, grały nader ważną, ‘asenizacyjną’ poniekąd rolę. Służyły one, by tak rzec, za zsypanki dla ‘ludzkich odpadów’ czy ‘ludzkich odrzutów’, a mówiąc ściślej i używając pamiętnego terminu Stefana Czarnowskiego, dla ‘ludzi zbędnych’, jakich części planety już poddane przeobrażeniom modernizacyjnym wytwarzały w coraz większej masie.

Produkcja ‘ludzi zbędnych’, dla których nie przewidziano miejsca lub dla których miejsca zabrakło w układach społecznych, w jakich się pojawiali, których układy owe nie były w stanie lub nie chciały wchłonąć, była i pozostaje nieodłącznym produktem ubocznym modernizacji, a więc i nieodzownym składnikiem nowoczesnego porządku rzeczy, jako że ‘nowoczesność’ to tyle właśnie co nieustająca, kompulsywna i obsesyjna modernizacja: ‘unowocześnianie’ nie jest czynnością poprzedzającą nadejście nowoczesności – jest wiecznie trwającą istotą owego szczególnego sposobu bycia-w-świecie bez którego ‘nowoczesność’ byłaby podobnym *contradictio in adiecto* co wiatr,

który nie wieje czy rzeka, jaka nie płynie. ‘Nowoczesność’ i ‘modernizacja’ to ta sama rzeczywistość – w pierwszym przypadku fotografowana, w drugim filmowana. Układ społeczny, który zdolen jest przestać się ‘unowocześniać’, nie jest nowoczesny.

Bez produkcji ludzi zbędnych nie obejdzie się szczególnie w dwu zasadniczych czynnościach charakterystycznych dla nowoczesnego sposobu bycia: w ładotwórstwie i postępie gospodarczym. Wizja ładu tym się wszak od zastanego porządku rzeczy różni, że zakłada eliminację irytujących (bezużytecznych, uznanych za szkodliwe, obrażających poczucie harmonii, ‘nie pasujących do reszty’) składników fragmentu rzeczywistości wyznaczonego do uporządkowania. Zaprowadzanie rozumniejszego niż zastany porządku, czy to na obszarze państwa jako całości, czy pojedynczego przedsiębiorstwa, sprowadza się w ostatecznym rachunku do usunięcia kategorii ludzkich wykonawców, dla jakich w nowym i ulepszonym (‘zracjonalizowanym’, ujednoliconym, zharmonizowanym) układzie zabrakło miejsca i funkcji. Zaś postęp gospodarczy wyraża się głównie w zastępowaniu bardziej pracochłonnych mniej pracochłonnymi sposobami wytwarzania. Czynności, wymagające dawniej dłuższego czasu i większej ilości wykonawców, wykonywane są szybciej i obchodzą się mniejszą ilością pracowników. Rzec można, że przejście od mniej do bardziej postępowego sposobu wytwarzania polega na przeniesieniu pewnej ilości pracowników do kategorii ludzi zbędnych.

Do niedawna wszakże obszerne połacie globu (‘zacofane’ czy ‘niedorozwinięte’ z perspektywy bardziej postępowych sposobów gospodarowania praktykowanych na terenach objętych już modernizacją) nie wytwarzały nadwyżek ludnościowych, a więc i ciśnień oraz napięć związanych z nadmiarem ludności. Gospodarka przednowoczesna nie знаła pojęcia śmieci, odpadów czy odrzutów – nie znała też pojęcia ‘ludzi zbędnych’ (przedwojenni ekonomiści polscy obliczali, że gdyby zastosować kryteria gospodarki rynkowej – i tylko wtedy – okazałoby się, że ‘ukryte bezrobocie’ na wsi obejmuje około ośmiu milionów jej ‘czynnych ekonomicznie’ mieszkańców). I tak też ‘kraje zacofane’ były odbierane w ‘krajach rozwiniętych’: jako obszary niedoludnione czy wręcz pustynne, które adoptując intensywniejsze sposoby gospodarowania mogłyby wchłonąć z łatwością i wyżywić nadwyżki ludnościowe wytwarzane w krajach rozwiniętych; mówiąc wprost i bez osłonek – jako naturalne zsympiska dla ludzi, których zapał ładotwórczy usunął do kategorii odrzutów, a postęp ekonomiczny relegował do kategorii odpadów. Jak to widać jaśniej z perspektywy dzisiejszej gruntownie odmienionej sytuacji, masowa emigracja lub banicja nadmiernej ludności była bodaj najistotniejszą z funkcji procesów, jakie weszły do historii pod mianem ‘kolonizacji’ czy ‘imperiali-

zmu'. Podbój i kolonizacja 'pustych' terenów była, rzecz dziś można, globalnym rozwiązaniem lokalnie (w zmodernizowanej części planety) wytwarzanych problemów społecznych.

Sytuacja, jak już o tym była mowa, odmieniła się radykalnie. Niepohamowany, kompulsywny i obsesyjny pęd do unowocześniania nie jest już dziś przywilejem narodów wybranych. Globalne ambicje nowoczesnego przewrotu spełniły się, pionierom porządków nowoczesnych udało się nawrócić resztę świata na wiarę postępu i przerobić warunki, w jakich reszcie ludzkości zdobywać wypada środki do życia, na modłę własną. Nowoczesne formy życia ogarnęły planetę i dotarły do jej najodleglejszych zakątków, niszcząc po drodze resztki form alternatywnych. 'Nowoczesność' stała się isticie powszechnym sposobem życia gatunku ludzkiego. Co się tyczy działań gospodarczych nakierowanych na odtwarzanie (i przetwarzanie) warunków życia – zasada wolnego handlu i konkurencji, rynkowego pośrednictwa między wytwarzaniem a spożyciem, powszechnego utowarowienia, komercjalizacji i monetaryzacji dóbr do życia niezbędnych oraz postępującej deregulacji stosunków zatriumfowała. Skutkiem ubocznym i zapewne niezamierzonym, lecz prawdopodobnie najdonioślejszym w społecznych następstwach, jest zahamowanie odpływu nadal raptownie rosnących, ale teraz donikąd już nie odprowadzanych, zastępów 'ludzi zbędnych'. Produkcja ludnościowych nadwyżek pozbawionych funkcji w procesach gospodarczych i dla zbilansowania gospodarki bezużytecznych trwa nadal, i to w skali niepowstrzymanie rosnącej w miarę przekształcania się terenów dawniej za 'puste' poczytywanych w masowe wytwórnie ludzkich odrzutów i odpadów.

Innymi słowy, zabrakło ująć globalnych dla nagminnie dziś lokalnie wytwarzanych społecznych problemów. Sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni: trzeba szukać (bezsukutecznie, jak się przy każdej kolejnej próbie okazuje) lokalnych rozwiązań dla problemów globalnego pochodzenia. A takich rozwiązań nie widać – i to nie z winy ospałej wyobraźni. W szczególności, na plan pierwszy wśród dotkliwych planetarnych problemów obecnego etapu wysuwa się nienadążanie 'społecznych zakładów asenizacyjnych' za wzrostem produkcji 'ludzi zbędnych'.

b. Kres ery przestrzeni

Wypada raz jeszcze zacząć od zastrzeżenia: powiadając, że 'era przestrzeni dobiega kresu', nie twierdzę by przestrzeń 'przestała się liczyć', jak to sugerują liczni dziś otwarci, a czasem ukryci zwolennicy determinizmu technologicznego zafascynowani zawrotną szybkością przekazu informacji i bezprecedensową łatwością i sprawnością działania na odległość. Przestrzeń nie

przestała się liczyć. Z czysto technicznego punktu widzenia, przestrzeń fizyczna istotnie ‘straciła na wadze’: odległości są dużo mniejszym niż jeszcze pół wieku temu ‘problemem’ czy przeszkodą do pokonania. Z drugiej jednak strony, raptownie rośnie znaczenie przywiązywane społecznie do terytorium, miejsca, ‘społeczności lokalnej’.

Orzekając o kresie ery przestrzeni, mam na myśli, po pierwsze, eksterytorialność czy ponadterytorialną naturę mocy (*Macht, might, puissance*), a po drugie przejście przez ruchliwość, szybkość manewru i zdolność uniku roli podstawowej strategii stosowanej w walce o zdobycie i utrzymanie władzy – jaką były przedtem bezpośrednie zaangażowanie i zniewolenie kontrahenta i trwały, nieustanny i wszechstronny nad nim nadzór. W wyłaniającej się dziś planetarnej hierarchii władzy przewagę zyskują siły poniekąd ‘nieważkie’ – najmniej obciążone zobowiązaniami terenowymi, nie uwiązane do miejsca, wolne od uciążliwych zadań administracji terenu i zawiadywania codziennym życiem jego mieszkańców. W ‘przestrzeni przepływów’ (by się posłużyć terminem Manuela Castellsa), w jakich poruszają się dziś moce globalne, zwinnność, ulotność, prędkość zmiany miejsca, łatwość oderwania się, umknienia z pola bitwy i zerwania kontaktu z przeciwnikiem liczą się bardziej niż rozmiary zarządzanych terenów. Podbój terenu i przejście jego administracji nie jest dziś, jak było jeszcze pół wieku temu, stawką w walce o władzę. Przeciwnie – krępujące swobodę ruchu prerogatywy (ale i obowiązki w parze z nimi idące) terytorialnego suwerena z aktywów przeobraziły się w pasywa. Logika zmagania o planetarne wpływy podpowiada, że trzeba się ich jak ognia wystrzegać – wyznacznikiem i symptomem mocy jest łatwość, z jaką się ich unika. Dzisiejsze odpowiedniki dawnych imperiów są ‘nie z tego świata’ – nie ze świata obiektów fizycznych, geografii, czy (by się znów na Castellsa powołać) ‘przestrzeni miejsc’.

Twierdzenie o kresie ery przestrzeni powołuje się też na utratę przez terytorium jego decydujących niegdyś walorów obronnych. Fortyfikacja terenu – fosy i mosty zwodzone, wały ochronne, bunkry, zasieki z drutu kolczastego i ich najświeższe i najbardziej technicznie wyrafinowane uzupełnienia – nie są dziś gwarantem bezpieczeństwa. Granice są przenikliwe i nie dają się uszczelnić. Płynna moc nie uznaje zapór i przegród; przesiąka bez większych kłopotów przez najbardziej hermetyczny z murów, sączy się i kapie wartko przez niezliczone szczeliny, rysy i pęknięcia, których zalepić, wbrew wysiłkom, nie sposób. Nie wynaleziono mazidła zdolnego zalepić mnożące się otwory i zatamować przecieki – a gdy się skuteczny chwilowo smar czy taśmę klejową wynajdzie, ciekła moc rychło znajdzie na nią sposób.

To w takich właśnie warunkach zbiorowości ludzkie pozbawione ujścia do globalnego potoku, uwiązane do miejsca, *glebae adscripti*, obarczone lokalną suwerennością, a więc zmuszone parać się lokalnymi sprawami i dźwigać odpowiedzialność za ich codzienny bieg, nie mają innego wyjścia prócz gorączkowego poszukiwania miejscowych rozwiązań (czy ich paliatywów) dla globalnie wytwarzanych i nieustannie (również globalnie) przeobrażanych kłopotów. Problemy rodzą się w ‘przestrzeni przepływów’, ale czoła trzeba im stawić i z nimi się borykać w ‘przestrzeni miejsc’ i środkami w tej – wyjąłownej i upośledzonej – przestrzeni dostępnymi. Zadanie to z reguły ponad siły władz broniących twierdz lokalnych. Gwałtowny wzrost znaczenia przywiązywanego do ‘małych ojczyzn’, intensywna uwaga im poświęcana i zaciekłość, z jaką jej (skazani na nią) mieszkańcy bronią jej nietykalności, wynikają w ostatecznym rachunku z tego właśnie, zasadnego i podpartego wciąż nowym doświadczeniem, poczucia bezradności. Jako że rady na przecieki globalne się nie znajdzie, zadanie jej wytropienia nigdy z miejscowej wokandy nie zniknie. Im bardziej odporne ludzkim poczynaniom i wyobraźni, tym gwałtowniej będzie podniecało do coraz to nowych, choć niekoniecznie bardziej skutecznych, wysiłków.

c. Rozwód mocy z polityką

Około dwu stuleci temu zawarty został związek małżeński mocy i polityki. Małżonkowie osiedlili się, zdawało się na dobre (jak się w takich przypadkach powiada, ‘do czasu aż śmierć ich rozdzieli’), w państwie-narodzie. Zdawało się, jak teoretycy władzy nie mieszkali podkreślać, że byli dla siebie nawzajem stworzeni. Ich symbioza bliska była perfekcji. Uzupełniali się wzajemnie: moc przysparzała polityce kłów i pazurów, a polityka (domagająca się, jak to Max Weber zauważył, wyłączności praw małżeńskich) dbała o to, by ostre narzędzia używano jedynie w dobrej sprawie i przeciw jej adwersarzom. I oto po latach zgodnego w zasadzie, choć nie pozbawionego konfliktów pożycia, przykładne, jak się zdawało, stadło małżeńskie jest w stanie kryzysu i wiele symptomów wskazuje na to, że partnerzy zdążają do separacji, a być może i do formalnego rozwodu (choć wniosku o rozwód żaden z partnerów nie wniósł, jak dotąd). Partnerzy spoglądają w przeciwnych kierunkach. Moc czuje się skrępowana wspólnym domostwem, zbyt szczupłym na jej ambicje i możliwości – zaś politykę coraz bardziej irytuje przedłużająca się nieobecność partnera.

By innej użyć przerośni: moc wyparowała ze szczybla państwa-narodu w górę, w znacznie obszerniejsze, planetarne rejony, zaś pozostawiona bez jej wsparcia polityka wyciekła ze sfery państwowej w dół, do dziedziny upra-

wianej w pojedynkę ‘polityki życiowej’. Rezultatem jest, z jednej strony, moc uwolniona od politycznych skrępowań, a na drugim biegunie polityka pozbawiona mocy, a więc i siły wykonawczej. Państwo-naród pozostało w podejrzeniu opustoszałym środkiem. Ogołoconemu z mocy, coraz trudniej utrzymać w dłoniach politykę. Albo więc zleca ją pieczy pozostawionych własnemu przemysłowi obywateli, albo ceduje (‘deleguluje’) funkcje, które, jak długo pozostawały jego wyłączną domeną, były zwane politycznymi i zazdrośnie strzeżone, na rzecz sił, które swą apolityczność jawnie deklarują i kontroli procesu politycznego nie uznają. Polityka, w odróżnieniu od mocy, pozostaje lokalna, a w wielu przypadkach ujawnia tendencję do dalszego rozdrobnienia terytorialnego i funkcjonalnego.

Moc przebywa dziś w przestrzeni planetarnej, ponadpaństwowej i z punktu widzenia mapy politycznej eksterytorialnej – przestrzeni, nad którą wypracowane w czasach nowożytnych instytucje i mechanizmy kontroli politycznej nie panują. Cokolwiek pozostało z suwerenności państw-narodów i ze środków egzekwowania prawa, jakimi państwa te dysponują, nie sięga procesów, jakie w owej politycznie niezagospodarowanej przestrzeni się dzieją, ani spraw, jakie są w niej rozstrzygane (lub jakie raczej się w niej rozstrzygają). Mało które państwo może dziś stawiać na własne zasoby i prerogatywy w uprawianiu polityki gospodarczej, militarnej czy kulturalnej. Państwa mogą tylko zabiegać o względy mocy globalnych – zachęcając je, jak mogą, do rozbijania namiotów na podległych im terenach raczej niż na terenach sąsiadów. Ten cel mogą zaś osiągnąć rezygnując do reszty ze strzępów swych suwerennych uprawnień. Państwa licytują się w ułatwianiu życia ‘zagranicznym inwestorom’ – w znoszeniu prawnych ograniczeń eksportu kapitału, obniżaniu obciążeń finansowych, tresurze posłusznej siły roboczej i trzymaniu w ryzach potencjalnie krnąbrnych i czupurnych stowarzyszeń pracowniczej samoobrony. Dbają też państwa o ład i porządek na co dzień, o to by nic nie mąciło przyjemnego pobytu szefów i komiwojażerów potęg globalnych – o ulice wolne od nożowników, złodziei kieszonkowych i żebraków; ogniskują zatem uwagę na walce z przestępczością, choć uwaga jest na ogół wybiórcza i skupia się na ochronie ciała, spokoju i własności osobistej, rzadko tylko i niechętnie zatrzymując się na nonszalancji, z jaką globalni potentaci traktują miejscowe sentymenty etyczne i przepisy prawne.

B. KONSEKWENCJE

a. Globalna 'Strefa Międzygraniczna'

Ze wszystkich oglądanych i opisanych krajobrazów społecznych planetarna 'przestrzeń przepływów' przypomina najbardziej 'Dziki Zachód' uniesmiertelniony pod nazwą 'frontier-landu' w hollywoodskich westernach. 'Frontier-land' to termin amerykański, ukuty w okresie gorączkowej i chaotycznej kolonizacji 'pustych', bo przez Indian tylko zamieszkałych terenów kontynentu; nie ma on odpowiednika w żadnym innym języku, podobnie jak typ międzyludzkich relacji, do jakiego termin ów odsyła, nie ma ścisłego ekwiwalentu w doświadczeniu historycznym innych krajów. 'Frontier-land' tłumaczy się dosłownie jako 'strefa graniczna', ale stosunki tym terminem nazywane różnią się gruntownie od tych, jakie zwykliśmy ze strefami granicznymi kojarzyć; są wręcz ich przeciwieństwem. Najlepiej stosunkowo, choć nie w pełni, oddaje sens terminu pojęcie 'strefy międzygranicznej' – sugerujące obszar ziemi niczyjej, bezpańskiej, nie podlegającej żadnej władzy prawowitej i usankcjonowanej; obszar położony między (i poza) granicami domen władz suwerennych, stanowiących i egzekwujących powszechnie na ich terenie obowiązujące prawa; lub też obszar czasowy raczej niż przestrzenny, pomiędzy rozkładem jednego ładu a przed ustanowieniem kolejnego – gdy dawne reguły nie obowiązują już, a nowe nie obowiązują jeszcze.

W strefie międzygranicznej brak reguł postępowania, jakie obowiązywałyby jednak silnych i słabych i to bez względu na to, czy się zgodzili nimi kierować i ich przestrzegać. Brak też władzy zdolnej do tego, by posłuszeństwo wobec przepisów wdrażać i – gdy trzeba – narzucić. Następstwa zdarzeń, nie poddanego ogólnym i stałym prawidłowościom, nie da się więc przewidzieć. W strefie międzygranicznej wszystko zdarzyć się może, ale nie można być pewnym rezultatów niczego, czego się dokonuje lub dokonać zamierza. Każdy może na swój sposób i do woli dalszy ciąg zgadywać, ale nikt nie może być pewnym sprawdzenia się domysłów.

W strefie międzygranicznej wszystkie granice są ruchome i prowizoryczne, a żadna nie jest szczelna. Granice wędrują w ślad za peregrynacjami i zmienną fortuną tych, którzy władni są linie graniczne zakreślać. Koalicje zawierane są *ad hoc* i pozostają płynne, podobnie jak linie frontów okalające skłócone obozy. Sojusze i umowy, pakty i porozumienia są kruche, kameleonopodobne i zawsze, w każdej chwili do wypowiedzenia. Zakłęci do wczoraj wrogowie przedzierzgają się z dnia na dzień w aliantów witanych z otwartymi ramionami przez przedwczorajszych oskarżycieli, gdy wczorajsi sojusznicy i faworycy przechodzą lub są zapędzani do obozu wroga.

W strefie międzygranicznej swoboda manewru jest wytrychem do sukcesu, zaś przywiązanie do miejsca i zaangażowanie w nim jest przepisem na porażkę. O wyniku konfrontacji decyduje zdolność zaskakiwania, szybkość zadawania ciosów i chyżość ucieczki przed odwetem. Nie terytorium, lecz prawo i praktyczna możliwość jego ignorowania są główną stawką i trofeum w walce o przewagę i zwierzchnictwo.

W strefie międzygranicznej wszystkie moce, jakie liczą się naprawdę, dostosowują swe umiejętności, uzbrojenie i strategie do warunków trwałej i nieusuwalnej niepewności wymagającej improwizacji zamiast długoterminowego planowania. Moce owe czują się najlepiej i prosperują w krainie ślepego przypadku i błędnego losu. Boją się zwiotczenia i uwiądu w przypadku, gdyby ich posunięcia stały się przewidywalne lub przewidywalnymi je uczyniono. Na 'Dzikim Zachodzie' możnych właścicieli trzód i bandytów łączyła głęboka niechęć do prawnie przepisanych norm postępowania, które niechybnie zrutynizowałyby, a więc pozbawiły żądła, ich poczynania. To właśnie owa wspólnota interesów pozwalała obu stronom odgrywać bez końca spektakle wzajemnej wrogości bez groźby dla trwałości bezprawia. Bezprawie wychodziło z krwawych utarczek bez szwanku. Jedynymi ludźmi spragnionymi rządów prawa byli osiadli rolnicy, właściciele okolonnych częstokołem zagród i pól uprawnych – ale oni też padali pierwszą ofiarą nieszasek rodzinnych między miłośnikami (i mistrzami) prowizorki i improwizacji i krwawych wojen podjazdowych, jakie między nimi się toczyły. Dla swobodnie poruszających się nomadów nieruchome cele były łatwym łupem.

Różnicę między przestrzenią normatywnie regulowaną a 'strefą międzygraniczną' trafnie przedstawia metafora rzeki i pola minowego, użyta w innym kontekście przez Jurija Łotmana. Płynąc szlakiem wyżłobionego już koryta, wody rzeczne mkną ku ujściu, nie zważając na napotymane po drodze przeszkody, podmywając i krusząc skały i unosząc kamienie i piaski. Pole minowe kryje nie mniej potencjalnej energii, niż najbardziej obfita i wartka z rzek – ale miejsca jej kondensacji i kierunki przyszłych wyładowań są nieznanne i niemożliwe do przewidzenia. Wiadomo, że wybuch nastąpi – ale nie wiadomo gdzie, kiedy, z jaką siłą i z jakim skutkiem.

b. Boje rozpoznawcze

Jeśli granice są prowizorycznie tylko naszkicowane, a nadto i rozmazane, jeśli sojusze są klecone naprędce i szybko się rozpadają, jeśli różnice między wrogami a przyjaciółmi są ani jednoznaczne ani trwałe i przeciwnicy są z reguły potencjalnymi sprzymierzeńcami i odwrotnie (a tak właśnie

się rzeczy mają w globalnej ‘strefie międzygranicznej’) – konfrontacje zbrojne mają charakter eksperymentalny i skłonne są spełniać funkcję ‘bojów rozpoznawczych’ czy ‘eskapad zwiadowczych’. Ich zadaniem jest nie tyle realizacja z góry ustalonych celów, ile rozeznanie możliwości. Jakże to cele da się obrać dla środków jakie posiadamy, jakie cele można realistycznie postawić przy obecnym układzie sił i drzemiących w nim możliwościach? Wedle słynnej formuły Clausewitza, wojny są kontynuowaniem polityki z przyciągnięciem innych środków. Wojny epoki żywiłowej globalizacji są kontynuacją braku polityki – narzędziem poszukiwania najatrakcyjniejszych, w danej chwili, celów i artykułowania najsensowniejszych, w danych warunkach zamierzeń.

Wyprawy zwiadowcze poprzedzają określanie celów wojny i prace nad strategią wojenną. Ich przeznaczeniem jest głównie zdobycie informacji: jaka kombinacja sił i zasobów i jakie rozwinięcie szyków dają największe szanse sukcesu i obiecują największe zyski. Logika rozumu instrumentalnego odwrócona jest tu na wspak: zadaniem bojów rozpoznawczych jest dobranie najbardziej ponętnych celów do danych środków. Jeśli istnieje coś takiego, jak ‘cel wojny’ (w odróżnieniu od celu bieżącej operacji wojskowej), jest on z założenia elastyczny: poczekajmy, czas pokaże, spróbujmy, zobaczymy. Pytaniem jest, ‘jak wiele potrafimy osiągnąć przy pomocy posiadanych przez nas środków’ – a nie, ‘jakich środków potrzebujemy by osiągnąć stan rzeczy, jakiego pragniemy?’ Gdy konflikty zbrojne przybierają formę eskapad zwiadowczych, cele operacji są najbardziej plastycznym z czynników. Zmieniają się często, szybko i bez uprzedzenia, w miarę jak toczące się działania odsłaniają coraz to inne możliwości i pobudzają nowe apetyty.

Wolno żywić nadzieję, że jakaś polityka, a być może nawet polityka spójna i konsekwentna – wyłoni się w końcu z długiej serii prób i błędów, z refleksji nad nieopatrzonymi krokami i szczęśliwym trafem. Tak przynajmniej uzasadniają swą taktykę i poczynania inicjatorzy bojów zwiadowczych. Wolno jednak także podejrzewać, że utarczki, szamotaniny i przepychanki, gdy są przez dłuższy czas i bezkarnie stosowane, nabierają własnej logiki i własnego rozpędu. Jasne określenie celów zdaje się wówczas zadaniem mniej pilnym; ba, polityka jako taka, a zwłaszcza wizja polityczna, zdają się zbędnym luksusem, a może i niepożądanym skrepowaniem. Wolno wreszcie się domyślać, że dewaluacja polityki jest bojów rozpoznawczych zasadniczym, choć utajonym celem – zważywszy obfitość jeszcze nie wypróbowanych środków i ubóstwo pomysłów na alternatywne, a spróbowania warte sposoby planetarnego współżycia.

c. Wzajemnie gwarantowana ranliwość¹

Zauważmy, że w strefie międzygranicznej funkcja wypadów zwiadowczych nie ogranicza się do roli okazjonalnych forteli. Boje rozpoznawcze nie są podrzędnymi, pomocniczymi tylko narzędziami wojny – jakimi były do niedawna, gdy wojna miała jeszcze charakter długotrwałej i systematycznej konfrontacji zbrojnych adversarzy o jasno (przynajmniej w zamyśle) określonych celach, logice i zasadach działania. Nie są też wstępnym krokiem czy próbą moszczenia drogi do następnego poczynania – najazdu sił głównych, podboju terenu i wkroczenia wojsk okupacyjnych. Są niejako przedsięwzięciem samoistnym i autotelicznym, ‘celem samym w sobie’, ‘normą’ konfliktów zbrojnych i poczynaniem, do którego owe konflikty najczęściej się sprowadzają. Ta okoliczność czyni powinowactwo między strefą międzygraniczną a polem minowym Łotmana ściślejszym jeszcze i bardziej intymnym. Jeśli wojny klasyczne dążyły (ze zmiennym powodzeniem), obok powiększenia własnego stanu posiadania także i do zredukowania, albo i całkowitego wyeliminowania niepewności wywołanej sąsiedztwem uzbrojonego po zęby sąsiada o trudnych do przewidzenia zamiarach – efektem konfliktów poszatkowanych na serię sporadycznych wypadów zwiadowczych jest zazwyczaj kontynuacja i pogłębienie niepewności wynikłej z braku powszechnie stosowanych reguł, trwałych układów odniesienia i ogólnie honorowanych zasad postępowania (innymi słowy, reprodukcja kondycji ‘międzygranicza’). Ich następstwem jest, obok ofiar czy szkód ‘towarzyszących’, większa jeszcze niż przed ich podjęciem niepewność, ranliwość, brak zabezpieczenia i nerwowość oraz trwoga także i pryncypialnych aktorów dramatu.

Na szczególną uwagę zasługuje wpływ omówionych tu przeobrażeń na przemiany dokonujące się dziś stopniowo, lecz nieustępliwie w strategii walki o władzę i technice jej sprawowania. Swe dociekanie sprężyn ziemskiej, ludzkiej władzy, Michał Bachtin zaczął od protokołu ‘lęku kosmicznego’ – ludzkiego, nader ludzkiego uczucia wywołanego nieziemskim i nadludzkim majestatem stworzenia. Od bojaźni która, jak suponuje, poprzedza strach wzbudzany przez władze ziemskie, służąc im za fundament, prototyp i natchnienie zarazem. ‘Lękiem kosmicznym’ nazywa Bachtin dreszcz jaki wszystkich nas przenika na widok tego, co nieskończenie wielkie i niezmiernie potężne: bo-

¹ Nie istnieje w języku polskim dokładny odpowiednik angielskiego pojęcia ‘vulnerability’ (czy rosyjskiego *уязвимость*) – słowa jakie sugeruje wrażliwość czy podatność na ciosy, niezabezpieczenie czy brak skutecznej ochrony przed zranieniem, ogólną słabość i łatwość padania ofiarą napastników czy poddawania się dolegliwościom. Z braku lepszego terminu, proponuję przełożyć pojęcie ‘mutually assured vulnerability’ jako ‘wzajemnie gwarantowaną ranliwość’.

jaźń i drzenie odczuwane w obliczu gwiaździstego nieba, niebotycznych masywów górskich, bezkresnego morza czy w przeczuciu wstrząsów kosmicznych i żywiołowych katastrof.

Podłożem kosmicznego lęku jest, zdaniem Bachtina, doznanie bezsiły i bezradności przez istotę ludzką świadomą własnej nicości i kruchości oraz ogromu i wieczności wszechświata. Ale jest nim też świadomość, że przeraźliwej potęgi, ujawnionej w samym już wzniosłym majestacie stworzenia, nie da się umysłem ludzkim w pełni ogarnąć, ani myślą ludzką przeniknąć. Wszechświat wymyka się rozumieniu. Jeśli rządzi nim logika i jest w nim cel, są one ludzkiemu rozumowi niedostępne. A bez rozumienia, są ludzie bezradni: nie umieją przewidywać, a gdyby nawet umieli, nie zdołają temu, co stać się może, zaradzić, dobrego losu przywołać czy złemu zapobiec. Jest więc lęk kosmiczny także (a być może w pierwszym rzędzie) strachem przed tym, co niewiadome; terrorem *niepewności*.

Z tejsze kruchości i niepewności, dwu nieodłącznych składników człowieczego losu, ulepiony jest 'lęk urzędowy' – strach przed *ludzką* władzą, przez ludzi tym razem a nie przez Przyrodę stworzoną i przez ludzi, jak miecz Damoklesa, nad głowami innych ludzi zawieszoną. Lepi się lęk urzędowy na kształt i podobieństwo kosmicznego.

Tyle, że w odróżnieniu od lęku urzędowego lęk kosmiczny, oryginalny, rodzi się spontanicznie. Tym się też oryginał od swego naśladowcy różni, że rodzi go potęga *anonimowa* i *niema*. Wszechświat przeraża, ale milczy. Niczego nie żąda. Nie wydaje rozkazów ani instrukcji. Nie obchodzi go, co przerażeni poczują i czy w ogóle poczynać cokolwiek będą. Nie ma co przemawiać do gwiazd na niebie czy szczytów górskich. Są nie tylko nieme, ale i głuche. Nie ma co błagać je o dobroć czy zmiłowanie. Są nie tylko nieme i głuche, ale i na ludzką dolę i niedolę nieczułe. Co więcej, nawet gdyby miały oczy, uszy, mózgi i serca, nie mają przecież rąk. Gwiazdy i góry nie wybierają, nie decydują, a nawet gdyby wybierały i decydowały, nic by z tego dla penitentów nie wynikło. Są tak samo, jak penitenci, bezradne. Nie mogą przyspieszyć ani opóźnić, spowodować ani odwrócić tego, co się stanie. Nie tylko dla wystraszonych penitentów, ale i dla siebie samych są niepojęte. Gdyby nagle cudem zdolność mówienia zyskały, nie miałyby nic do powiedzenia. Nie stać by ich było nawet na pierwsze zdanie, jakie dobiegło Mojżesza z płonącego na zboczach Synaju krzaku: 'Jestem kim jestem'.

Z chwilą, gdy się te słowa rozległy i dlatego, że zostały wypowiedziane i Mojżesz mógł je usłyszeć – nadludzka, lęk kosmiczny budząca potęga wszechświata przestała być anonimowa, choć nadal wymykała się ludzkiemu rozumieniu, nie wspominając już o ludzkiej kontroli. Kruchość nie ustąpiła,

niepewność nękać ludzi nie przestała, ale owe źródło tajemne lęku nabrało całkiem innego charakteru: uzyskało kontrolę nad tym, co się działo, a więc mogło odmienić bieg zdarzeń. Zdarzenia miały teraz cel i motywy, nabrały sensu, z d a r z e n i a stały się c z y n a m i. Owe źródło lęku mogło d z i a ł a ć – a zatem mogło być dobrotliwe lub okrutne, mogło nagradzać postęпки ludzkie lub je karać. Mogło żądać, i uzależniać swe działania od posłuszeństwa lub krnąbrności. Skoro mówiło, można było doń mówić. Można było je rozgniewać, można było błagać o zmiłowanie. Lęk kosmiczny stał się lękiem Bożym.

To cudowne przeobrażenie miało podwójny skutek. Uczyniło zdjęte lękiem kosmicznym istoty poddanymi Boga. Ale sprawiło też, że nabrały one mocy, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyły. Istoty ludzkie mogły zwyciężać przez kapitulację; mogły być odtąd posłuszne Bożym rozkazom – i dzięki temu nie musiały przyglądać się, jak dotąd, beczynnemu klęskom na nie spadającym i w ucieczce tylko szukać ratunku. Mogły coś uczynić, by nieszczęście odwrócić, katastrofie zapobiec. W zamian za dni obediencji pełne zyskały noce wolne od koszmarów. Jak to ujął profesor teologii Eberhard Schlepffuss, jeden z bohaterów *Doktora Faustusa* Tomasza Manna – jedyna wolność ludziom pozostawiona to wolność akceptacji Bożej władzy przez rezygnację z własnej wolności...

Jeśli suwerenność władz ziemskich, i ich nadzieje na posłuszeństwo, wspiera się na nieporadności poddanych wobec niepewności losu i powstałego stąd uzależnienia od mocy od własnych ułomnych sił potężniejszej (jak to Leszek Kołakowski celnie ujął, religia rodzi się z poczucia ludzkiej niesamowystarczalności), kluczem do sukcesu władz ziemskich staje się p r o d u k c j a urzędowego lęku. Lęk kosmiczny nie potrzebuje pomocników czy pośredników – ale lęk urzędowy nie może się bez nich obejść. Lęk urzędowy trzeba dopiero stworzyć – i to środkami ludzom dostępnymi. Władze ziemskie nie spieszą na pomoc ludziom już wprzódy miotanym niepewnością i lękiem, choć starają się jak mogą przekonać poddanych, że taka właśnie jest kolejność rzeczy. Na podobieństwo nowinek rynkowych, władze ziemskie muszą w p i e r w stworzyć z a p o t r z e b o w a n i e na swe usługi. I muszą zadbać o to, by lęku poddani nigdy się do końca nie pozbyli, ani aby ich niepewność do cna nie wyparowała.

Poszukując uzasadnienia swych wymagań, każda ziemska władza powołuje się na niepewność, jaka dręczy podwładnych, a jaka nękałaby ich dotkliwiej jeszcze, gdyby władza jej nie łagodziła czy mitygowała. W kraju centralnego planowania, pod nieobecność rynku, naturalnego ekotopu i zawsze obficie tryskającego źródła niepewności, niepewność losu, na którą władza miała-

by być szpitalem i apteką, a posłuszeństwo wobec władzy miało być leczniczym reżimem, musiała być fabrykowana sztucznie, sposobami politycznymi. Nie przypadkiem charakterystyczny dla stalinowskiego reżimu terror wrywkowy, stosowany na chybił trafił, bez ładu i bez składu, ruszył w Rosji pełną parą w chwili, gdy złożono do grobu doczesne szczątki NEPu, ukrecono łań handlowi wraz z handlarzami i zwinięto wolny rynek pracy.

W normalnym społeczeństwie rynkowym produkcja niepewności nie jest kłopotem władzy politycznej: wystarczy, że władza strzeże wolności konkurencji. Władzy politycznej pozostaje zadanie legitymowania się mitygowaniem panoszącej się, bez jej udziału, niepewności indywidualnego losu i łągodzeniem jej następstw. Logika owej legitymacji wiodła w czasach nowożytnych nieubłaganie do ‘państwa opiekuńczego’ (lub, jak się je ostatnio, wstecz spoglądając, na Zachodzie nazywać proponuje, ‘państwa socjalnego’).

Od tej legitymacji od jakiegoś czasu się jednak odchodzi. Państwowe instytucje opiekuńcze podlegają rozbiórce, a przepisy prawne ograniczające wolną grę konkurencji rynkowej i chroniące jej ofiary – kasacji. Obowiązki opiekuńcze państwa zawęża się do ‘społecznego marginesu’ (a ściślej mówiąc mniejszości na margines wyrzuconej), który utrzymać się przy życiu w walce konkurencyjnej, z tego czy innego powodu, nie może – do bezrobotnych, niedołączonych, czy nieudolnych fizycznie lub psychicznie (choć w ich przypadku zmienia się klasyfikację podejmowanych zabiegów z ‘opieki społecznej’ na ‘ochronę prawa i porządku’). Coraz częściej, i coraz jawniej, politycy umywiają ręce od odpowiedzialności za niepowodzenia i niedolę pechowych jednostek i za powszechnie odczuwaną niepewność bytu wynikłą z rynkowego hazardu. Wzywają ofiary do wydobywania się z tarapatów, a całą resztę do unikania tarapatów, własnym staraniem. Nawołują jednych i drugich do większej ‘flexibility’ – giętkości, elastyczności – oferując większą dozę niepewności jako lekarstwo na niepewność dotychczasową. Jak to ujął Ulrich Beck – ludziom zleca się dziś poszukiwanie biograficznych wyjść ze wspólnych, społecznych kłopotów.

Nowa strategia władzy ma swe skutki uboczne. Podmywa ona fundamenty, na których władza nowoczesna zwykła była przez wiele dziesiątków lat wspierać zarówno swój autorytet i wymóg posłuchu, jak i dowody na własną nieodzowność i wagę odgrywanej przez się roli. Stąd powszechnie dziś notowana nieufność dla intencji i praktyk politycznych, uwiad zainteresowań poczynaniami partii, rządów i parlamentów, rosnąca apatia wyborcza, masowy odwrót obywateli od uczestnictwa w polityce ‘zinstytucjonalizowanej’. Rozum podpowiada: Jeśli państwo mi w niczym pomóc nie zamierza lub, jak je-

go zawiadowcy twierdzą, pomóc nie potrafi – to po co mam nim sobie głowę zaprzętać, tracąc czas i siły, jakie każą mi własnym interesom poświęcać?

Zdjąwszy z siebie odpowiedzialność za zapobieganie ranom poniesionym w rynkowych bitwach o byt i dobrobyt lub ich leczenie, władza państwowa potrzebuje alternatywnej niepewności, z którą zmierzyć się, na oczach i przy poklasku poddanych, potrafi. Rolę poszukiwanej namiastki zaczyna pełnić coraz wyraźniej ‘safety’, czyli bezpieczeństwo osobiste – ciała i jego przybudówek, a więc własności osobistej, domostwa, ulicy, okolicy – od zagrożeń ze strony kryminalistów, skłonnej do przestępstw ‘podklasy’, obcych o których nigdy nie wiadomo do czego są skłonni, a całkiem ostatnio także i terrorystów.

W odróżnieniu od zagrożeń rynkowych, zbyt oczywistych, by trzeba było o nich przypominać, lęk przed zagrożeniami alternatywnymi musi być podsycany, by osiągnął natężenie dostateczne legitymowania rządów politycznych, a zarazem odwrócenia uwagi od niepewności rynkowego pochodzenia, której uśmierzyć władze nie mają ani siły, ani zamiaru. Idzie o to, by niespełnienie się zapowiadanych niebezpieczeństw uznać można było za triumf niezwykły, możliwy li tylko dzięki czujności, przemyślności i zapobiegliwości organów państwowych. By raz jeszcze powołać się na wnikliwe obserwacje Ulricha Becka: powiada on, że w odróżnieniu od zagrożeń tradycyjnego typu, które były gołym okiem widoczne, zbyt oczywiste, by trzeba było ludziom o nich przypominać, ‘ryzyko’ jakie dziś ludzi straszy wymyka się spojrzeniu, rośnie potajemnie i uderza zniemacka (typowym przykładem są zanieczyszczenia atmosfery czy zasobów wody pitnej, ‘efekt cieplarniany’ czy ‘dziura ozonowa’). Nie wiedzieliby ludzie o nim i trwali w błogiej nieświadomości, brnąc lekkomyślnie ku nadciągającej nieuchronnie katastrofie, gdyby nie uczonych szkiełko i oko: o istnieniu ryzyka trzeba ludzi poinformować i trzeba ich skłonić, by traktowali tę informację z powagą, na jaką zasługuje – mimo że życie płynie z pozoru spokojnie i nic w zasięgu wzroku na zbliżanie się tragedii nie wskazuje. Z drugiej strony, można też ryzyko, w odróżnieniu od zagrożeń tradycyjnych (jak nieurodzaj i głód, zaraza i pomór, najazd i podbój) zbagatelizować, a nawet zanegować, a lęgnące się już podejrzenie ryzyka wydrwić lub potępić, zdusić w zarodku lub przepędzić argumentem i perswazją z ludzkiej świadomości.

Dodać tu jednak wypada do obserwacji Becka, że ponieważ ryzyko nie jest dane wprost w pospolitym doświadczeniu, istnieje możliwość odwrotna. Gdy się ma u ludzi posłuch, uchodząc za posiadacza wiedzy jaka zwykłym ludziom jest niedostępna, można nastraszyć ryzykiem urojonym, lub rozdmuchać znikome względnie ryzyko do rozmiarów epickiej tragedii. Chwył ten

stosowany jest nagminnie i z ogromnym powodzeniem przez koncerny handlowe. Dla zwiększenia obrotów, specjaliści od reklamy ogniskują rozsiane, często mętne i trudne do sprecyzowania, choć całkiem realne niepokoje konsumentów na konkretnej groźbie, jaką oferowany do kupna towar ma odwrócić. Podobną taktykę stosują w coraz większym zakresie tzw. 'spin doctors' ('uczni krętacze' czy 'przędzarze historyjek' w opisowym raczej niż dosłownym polskim tłumaczeniu) najmowani przez rządy dla manipulowania niepokojami ludności – odciągania uwagi publicznej od tego, co ludziom doskwiera bardziej, ale z czym rządy uporać się nie mogą i przesuwania jej na sprawy, z jakimi rządy mogą wziąć się za bary i co więcej dowieść publicznie, głośno i dobitnie, że się wzięły.

Na coraz wyższą pozycję w spisie takich spraw wynoszone są więc, jak już wspomniałem, niebezpieczeństwa grożące osobistemu bezpieczeństwu obywateli (w odróżnieniu od bezpieczeństwa egzystencjalnego czy pewności społecznej pozycji, o których głucho lub mówi się półgębkiem) czyli ich ciałom, własności, domostwu, ulicy. Bez względu na odcień polityczny, rządy obiecują silną i coraz silniejszą rękę w rozprawie z przestępczością – szczególnie jej odmianami drobnymi (w odróżnieniu od rozbojów na globalnych rozstajach), ale za to najbardziej w doświadczeniu potocznym, w życiu codziennym dokuczliwymi i nieznośnymi, trapiącymi 'zwykłych ludzi' i napawającymi ich strachem, a nadto nie wykraczającymi poza skalę (skromnych przecież) środków zaradczych, jakimi lokalne organy władzy dysponują. Z monotonną regularnością informują też mężowie stanu o nieuchronnych spiskach i zamachach o znanej lub podejrzewaney tylko proveniencji, wymagających nieustannej czujności. Do zamachów najczęściej nie dochodzi, za co łatwo władzom przypisać zasługę, a osad lęku wraz z wdzięcznością za wybawienie od katastrofy i przekonanie że zagrożenie trwa a więc trwa też potrzeba ratunku, pozostają.

Powszechna ranliwość coraz wyraźniej dzierży dziś prym wśród odmian 'oficjalnego lęku' w jakim szuka źródeł autorytetu i legitymacji władza zinstytucjonalizowana lub instytucjonalizacji poszukująca. Wywodzi się ona w ostatecznym rachunku z 'międzygranicza' trwającego w stanie 'niesystemowego systemu' czy 'całości bez środka'. W warunkach globalizacji mocy, idącej w parze z fragmentacją i lokalizacją władz prawodawczych i wykonawczych, cząstki całości zdolne do skoordynowanych działań zespołowych są wzajemnie zależne, ale niezdolne do zawarcia wzajemnych związków intencjonalnych i celowych, a już tym bardziej do nadania im trwałości. Zadania z reguły przerastają zatem możliwości działania. W erze globalizacji (przynajmniej w jej dotychczasowej fazie) dojmujące poczucie powszechnej ranliwości wynika w ostatecznym rachunku z niesamowystarczalności gatunku

ludzkiego wobec jego wspólnej już teraz historii, a ta znów z kolei z niewspółmierności wyzwań, jakie wspólna historia stawia i praktycznej możliwości stawienia im czoła.

Zygmunt Bauman
University of Leeds
University of Warsaw

LIVING (SOMETIMES DYING) ON THE CROWDED PLANET

S u m m a r y

The article does not offer a synthesis. It is premature to attempt a coherent, let alone comprehensive model of the new human condition that emerges from rushed globalisation of relationships and relations. Globalisation processes are far from being completed and one can't predict the way they are going to proceed. En route, they cause damage to everyday patterns of social relations, so that their meaning may be grasped and their forms and metamorphoses described.

Being aware of the inevitably provisional nature of synthetic images, I'll limit myself to hinting at rather than pinpointing three, presumably the most prolific, alterations in the forms of human (planetary) coexistence excited by globalisation processes. I will subsequently focus on three consequences of the above metamorphoses that seem to have left the most noticeable imprint on the form of contemporary conflicts, circumstances in which they occur and evolve as well as strategies accompanying power tussles.